

Michał Gołębiowski: Przybyszewski i Jim Morrison, czyli anatomia bluźnierstwa

Przybyszewski – jako egzaltowane „dziecię szatana”, wzniosłe i buńczuczne, prowokator i kapłan freudowskiej zwierzęcości, Morrison – jako „dzikie dziecko”, poeta narkotycznej ekstazy, wyrzucający z siebie obrazy i metafory pozbawione racjonalnej spójności – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Przybyszewski. W cieniu Młodej Polski”.

Sięgam po *Requiem aeternam*, poemat zatytułowany dość kościelnie, lecz wewnątrz, na każdej stronie i w każdym wersecie, począwszy od stwierdzenia, że „na początku była chuć” – bluźnierczy. W tym czasie adapter obraca płytę *Strange Days*. „Keep you high, keep you going, gonna drown”. Łacina starej modlitwy miesza się z młodopolskim wielosłowiem, psychodelicznymi organami Hammonda i krzykiem buntu albo seksualnej dionizji. Koniec wieku spotyka się z czasem rewolucji obyczajowej. W ten sposób utwierdzam się tylko w przekonaniu, które żywiłem już dawno temu: pomiędzy Stanisławem Przybyszewskim i Jimem Morrisonem jest zbyt wiele podobieństw, aby mogły zostać zignorowane.

Wyliczmy pokrótce najważniejsze z nich. Przede wszystkim obaj stali się archetypem artysty gorszącego. Nie stanowili jednak przy tym zjawiska marginalnego. Nie podzielili losu artystów przeklętych, błądzących, usychających gdzieś w szynku, domu publicznym lub tanim

hotelu, szanowanych dopiero po śmierci, częstokroć zresztą żałosnej, cichej i ukrytej przed światem. Przeciwnie, Przybyszewski i Morrison byli gorszycielami kochanymi przez salony, królami sceny, koryfeuszami swojej epoki. Skandal uczynił z nich wielkie gwiazdy na wzór żyjącego nieco wcześniej Lorda Byrona, zresztą swoistego punktu odniesienia dla nich obu. Stworzyli zatem nowy wzorzec skandalisty hipnotyzującego; takiego, który nie odraża, lecz pociąga za sobą tłumy.

Przybyszewski zjawiał się na młodopolskich salonach jako apostoł immoralności. Narcystycznym gestem łamał serca kobiet, zdradzał i kpił sobie ze wszelkiej formy pokory. Z pewnością nie przesadzę, jeśli powiem, że właściwie cała twórczość Przybyszewskiego, bez większych wyjątków, podporządkowana była jednej podstawowej myśli: ład i obyczaj to kłamstwo, w nas zaś drzemią nieokiełznane przez moralność i religię popędy, tyleż destrukcyjne, co życiodajne.

Tą samą obsesją żył Jim Morrison. Niewiele jest utworów The Doors, nie mówiąc już o prywatnej poezji Króla Jaszczurów, które nie czyniłyby z mrocznego libido centralnego punktu ludzkiej egzystencji, oczywiście niepoddającej się, w amoku dzikiego dziecka, żadnemu dyktatowi moralności. Dobro i zło to złudzenia. Istnieje tylko wolność, energia, anarchia, budowanie i burzenie. Dionizyjski rock and roll Morrisona, podobnie jak poezja Przybyszewskiego, wchodzi w irracjonalność, która wychodzi poza to, co należy i nie można; poza sumienie, w stronę upojenia.

Z immoralizmem wiąże się oczywiście określone rozumienie seksualności, a raczej – panseksualizm w widzeniu świata. Ani Przybyszewski, ani Morrison nie kultywowali przy tym radosnej wizji

erotyzmu. Siła seksualna jest u nich przemożna i podstawowa, a zarazem mroczna i destrukcyjna. Przybyszewski zasadniczo różnił się od Antoniego Langego, który erotykę utożsamiał z miłością twórczą, w jakiś sposób sprzężoną z odwiecznym i dobroczynnym cyklem sił kosmosu; czymś, co przemienia i przebóstwia. W *Requiem aeternam* seksualność jest bogiem krwawym i bezwzględny. Podobnie Morrison, który nie wpisywał się przecież, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, w ruch radosnej celebracji życia i ciała, tak jak był on realizowany przez „dzieci kwiaty”. Aby się seksualnie wyzwolić, należy raczej zabić symbolicznego ojca i dokonać gwałtu na symbolicznej matce. Eros – to siła nie do odparcia, która jednocześnie żąda obalenia wszelkich autorytetów.

Głoszone przez nich idee spotkały się z adekwatnym performansem. Prowokowali jako dandysi, gorszyli swoim życiem osobistym, odrzucali wszystko, co stabilne. Obaj zabijali Boga

Przybyszewski i Morrison byli też bohaterami głośnych skandali obyczajowych. Głoszone przez nich idee spotkały się z adekwatnym performansem. Prowokowali jako

dandysi, gorszyli swoim życiem osobistym, odrzucali wszystko, co stabilne. Obaj zabijali Boga. Źródła indywidualizmu, jaki przepaja całą ich twórczość, można by zdefiniować w następujący sposób: nie ma transcendencji większej od mojej własnej siły transcendowania; nie ma też innego pana aniżeli wszechwładne „ja”. Mówiąc wprost, Przybyszewski i Morrison to artyści „śmierci Boga”.

Obaj chętnie i świadomie balansowali na granicy grafomanii. Przybyszewski – jako egzaltowane „dziecię szatana”, wzniosłe i buńczuczne, prowokator i kapłan freudowskiej zwierzęcości, Morrison – jako „dzikie dziecko”, poeta narkotycznej ekstazy, wyrzucający z siebie obrazy i metafory pozbawione racjonalnej spójności. W przypadku ich obu można zdecydowanie mówić o pewnej strategii twórczej. Odwoływała się ona nie tyle do rozumności i logosu, co raczej do ciemnych, ślepych sił podświadomości.

W tym kluczu należy, być może, czytać dziś spuściznę literacką Przybyszewskiego. Był on, jako persona i jedna z pierwszych nowoczesnych gwiazd, zjawiskiem kulturowym w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Same jego dzieła mają mniejszą rangę. Nie bez powodu bywają ignorowane na rzecz ikony. Tak więc pismo jest w tym przypadku rozumiane jedynie jako jeden z przejawów ekspresji wyjątkowości twórcy jako osoby. Przybyszewski był więc lwem salonowym nowego rodzaju, takiego mianowicie, który można by porównać dopiero z późniejszymi gwiazdami muzyki rockowej.

Na tym można by poprzestać. Przybyszewski to po prostu jedna z pierwszych gwiazd kultury masowej. Ale sądzę, że w bełkotliwych (przynajmy to bez obaw) prorocत्वach i objawieniach Przybyszewskiego zawarto niejednokrotnie coś ważnego. Są to sprawy nie tyle może dosłownie zawarte w *De profundis*, ile raczej wyłaniające się z lektury bardziej intuicyjnej. Podobnie bywa zresztą z twórczością Jima Morrisona. Nie zawsze sensowne jest rozwikływanie konkretnych tworzonych przez niego metafor, zwłaszcza wtedy, gdy bywały tkane z

narkotycznych stanów świadomości. Zwykle model czytania musi być inny. Potrzeba nam wejść w świat skłębionych demonów, aby sformułować wnioski na podstawie ogólnego wrażenia estetycznego.

Wydaje się zatem, że bluźnierstwo w wykonaniu Przybyszewskiego i Morrisona karmi się fundamentalną niezgodą na porządek świata, który jest wyższy od człowieka. Po pierwsze dlatego, że jest to porządek. A po drugie – to coś niezależnego od „ja”. A skoro tak, to należy się temu pewna uległość. Człowiek w wizji Przybyszewskiego i Morrisona jest żyjącym chaosem, nie porządkiem. Dlaczego więc miałyby godzić się na religię i moralność? Będąc dzikim tworem, nie zniesie nad sobą żadnej zwierzchności: ani sensu, ani transcendencji, ani sumienia, ani wreszcie Boga.

Bluźnierstwo jest w tym przypadku transgresją i wyzwoleniem. To wyzwanie rzucone wszelkiej świętości, w imię obrony indywidualności. Jest to także prowokacja, której celem jest sprawdzenie, czy zburzenie ostatniego ołtarza sprawi, że niebiosa także się załamią. Ciekawe, swoją drogą, że Przybyszewski i Morrison – niczym nowocześni gnostycy – chętnie sięgali po język mistyki, aby afirmować to, co grzeszne i ryzykowne.

„I kocham moją chorobę i moje szaleństwo, co się w coraz to nowy a dzikszy system przybiera, coraz wyszukańszym szyderstwem sieka i kpi, i drwi z siebie i ze świata całego” – pisał Przybyszewski. Tym samym dowartościowaniem autodestrukcji jako ostatecznego przejawu indywidualizmu cechowała się także twórczość Jima Morrisona. Jeżeli więc istnieje jakiś nadrzędny porządek, coś lub ktoś, kto ustanawia

zasadę życia, taką, której wolność nie jest w stanie kształtować, lecz może ją wybierać lub odrzucać – to taki porządek powinno się stracić i rozbić.

Michał Gołębiowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MN